Rozmaitości

Dnia 2. Grudnia **Nr 48.** 1837 Roku.

SYSTEM PRZEMYTNICZY
W CZASIE ZAMKNIĘCIA STAŁEGO LĄDU.

Ustęp z dzieła Leona Gozlau:
Les Méandres.

Ci, którzy teraz nasze portowe miasta zwidzają i panującém tamże czynném i pełném ruchu życiem, słusznie są zdziwieni, zaledwo wyobrazićby sobie mogli, jak tam w czasie naszych wojen z Angliją smutno wyglądało. Ponura cisza zalegała wtedy owe miejsca, gdzie dawniéj gwar i zgiełk zamieszkiwały; wszelki handel usnął, nie słychać tam było ani wesołych piosnek, ani okrzyków radości przy zawijaniu lub odbijaniu okrętów, a na placu wyładowywania nadaremnie szukało oko owych piramidalnie napiętrowanych ładunków kawy, rumu, tytoniu lub innych osadniczych towarów, niegdyś z miast tych na wszystkie strony Francyi rozsyłanych. Kilku tylko starych marynarzy, tak skaliczałych i tak do służby niezdatnych, jak ich okręty, ożywiało tę smutną scenę; a to politowania godne położenie, byliśmy winni zamknięciu stałego lądu.

Zamknięcie stałego lądu! Nie jestżeto jeden z owych okropnych, olbrzymich pomysłów, który tylko w głowie Napołeona mógł powstać i jedynie wolą i pomocą całego narodu, mógł być wykonanym? Ażeby Napoleon ostał się i nie upadł, potęgę Anglii złamać należało. Nietykalną i położeniem swojém od wszelkiego napadu zabezpieczoną była wyspa Brytonów. Potrzeba kazała wyszukać jakieś miejsce, zkądby śmiertelnym ciosem ugodzoną być mogła, a jeniusz Napoleona wynalazł wkrótce pewny, niezawodny środek upokorzenia dumnéj Anglii: chciał on, dla odjęcia jéj najlepszych sił żywotnych, przeciąć jéj wszystkie punkty stykania się z innemi krajami; cały ląd stały — tak uchwalił Napoleon — miał okręty angielskie, jak gdyby one zapowietrzonemi były, odtrącić od siebie; dla nich każdy brzég miał stać się działobitnią, każda skała Gibraltarem, każde miasto twierdzą, a każdy port przepaścią.

Lecz któż przeszkodził, acz mimo chęci, wykonaniu tego wielkiego, przez Napoleona wymyślonego planu? Jeden tylko człowiek mógł to uczynić, a tym człowiekiem był — sam Napoleon. On utworzył zamknięcie stałego lądu i onto stał się twórcą przemytnictwa na lądzie stałym. W oczach jego zaprowadzano kontrabandę do Francyi, tu wprost, za pomocą śmiałego, przemytniczego okrętu, tam zaś przez manowce, kołując morzami do Lewantu, a ztamtąd lądem przez Solonikę, Brody, Wiédeń i Ren do Paryża. Niech dzieje z onego czasu więcéj o tém powiedzą, a my zaczniejmy powieść naszę:

W porcie kanału *la Manche*, który, jak inne porty, był również tą nagłą ciszą handlową dotknięty, stał zabrany przez Francuzów duży okręt angielski. Pozbawiony wszelkich lin i masztów, był podobny do niekształtnéj masy drzewa, spoczywającéj nieruchomie, jak dom jaki, na zielonéj, stojącéj wodzie. Któżby w tym pokaleczonym okręcie rozpoznał teraz owego strasznego *Alcyona*, który handlowi francuzkiemu tyle szkody zrządził, a towarzystwu zabezpieczającemu okręty, tyle bezsennych nocy sprawił. Liczba statków, wypłynionych z portu *la Manche*, a przez *Alcyona* wziętych, wynosiła dwieście do trzystu; żeglarze nasi unikali wszelkich z nim utarczek, stronili od niego ile możności, a nawet najśmielsi lękali się, gdy im przyszło

koniecznie, mimo wszelkich uniknień, z tą potworą się spotkać! Jeden tylko stary, francuzki korsarz, imieniem Scypio, w chwili gniewu, który w nim nowe zwycięztwo *Alcyona* do najwyższego stopnia wzburzyło, poprzysiągł tego zuchwałego latawca (*Alcyon*, ptak, zimorodek), co się na widokręgu niespodzianie to pojawiał, to znowu lotem błyskawicy znikał, nie tylko zdobyć, ale nawet jak najdotkliwiéj zhańbić: Zamyślił on go linami do portu wciągnąć, maszty zrąbać i z tak strasznego nieprzyjaciela, kadłub domu zrobić, co według wyobrażeń marynarza, najhaniebniejszém poniżeniem było. Zaiste, za daleko posunął on wzgardę swoję, ależbo i śmiałość jego po temu była. Scypio uderzył na *Alcyona*, zdobył go, przyciągnął do portu linami, ściął maszty, powlekł go wapnem i tak dalece zmienił, że trudno było rozpoznać, czém był dawniéj, chociaż i do domu wcale podobnym nie był. Scypio tryumfował; okaleczył *Alcyona* i, według swego rozumienia, zniżył go aż do lichego domostwa. Nikt zawziętszą i ognistszą nienawiścią przeciw Anglikom nie oddychał, jak Scypio; na samo ich wspomnienie zgrzytał zębami i ściskał pięść ze złości, jak gdyby całemu narodowi zniszczeniem zagrażał. Znałem go, tego namiętnego korsarza. Ojca zabili mu Anglicy, a jego samego zraniwszy, zawlekli do Portsmouth, gdzie czas długi w więzieniu głód i nędzę cierpiał. Słysząc go opowiadającego, jak on z towarzyszami swoimi przy zdobyciu *Alcyona* majtków angielskich w pień wycinał, nie można mu było nie przyznać, iż jego gniew i uniesienie miały w sobie w saméj istocie coś zdumiewającego. Scypio i kilkunastu inwalidów, którzy dawniéj tém samém, co i on trudnili się rzemiosłem, usunęli się poźniéj na pokład *Alcyona*. Co dzień można tam ich było z obu brzegów widzieć, jak z fajką w ustach przechadzali się po pokładzie swojego tak zwanego domu, lub jak na wszystkie strony widokręgu, swoje dalowidy wymierzali dla dojrzenia żagla, azali ich brat korsarz, powracając z wyprawy, jakiéj zdobyczy do portu nie prowadził.

»Jestżeto do pojęcia,« rzekł stary Scypio do towarzyszy swoich, »że miasto nasze teraz nawet, jak w czasie pokoju, zaopatrzone jest kawą, cukrem, tytoniem, lnianemi i bawełnianemi towarami, chociaż tu od kilku tygodni żaden przyjacielski okręt nie zarzucił kotwicy?«

»To ztąd pochodzi,« odpowiedziano mu, »że zdradzeni i zaprzedani jesteśmy; nie wieszli o tém przyjacielu Scypionie, że co noc, prawie w oczach naszych, mimo szabel celników i karabinów straży nadbrzeżnéj, znaczne zapasy towarów angielskich na ląd nasz wyładowują?«

»Tak, tak przyjaciele,« dodał trzeci, »blokada u nas jest tylko na pozór; nié ma już patryjotyzmu! Kramarzom naszym oto tylko chodzi, aby beczki swoje cukrem z Jamaiki i kawą z wyspy Bourbon napełnić mogli; oniby gotowi nawet klucze od zbrojowni naszéj wydać za łokieć angielskiego muszlinu; nié ma co mówić, to mi najlepszy sposób dojechania końca Anglikom!«

»Jakkolwiek bądź,« odezwał się znowu Scypio, »lubo za pomocą Anglików na niczém nam nie zbywa, chcemy jednak przysiędze naszéj wiernymi pozostać. Najgorszy tytoń francuzki niezmiernie drogo opłacamy, podczas gdy najlepszy angielski w połowie nam ceny sprzedają. Od dnia dzisiejszego jednak tylko krajowy tytoń palić będziemy!«

Wszyscy zawołali jednogłośnie: »Precz z angielskim tytoniem!«

»Funt cukru kosztuje 10 fr.,« mówił daléj Scypio, »a przemycony sprzedają po 3 fr.«

»To i cukru nie kupujmy!« zawołali żeglarze.

»I kawy także?«

»I kawy się wyrzekamy. Niech żyje zamknięcie stałego lądu! Dałby Bóg, ażebyśmy przezto Anglików zgubić mogli!«

»Co zaś do kobiét naszych,« rzecze Scypio w ciągu rozmowy, »niech się ubierają, jak chcą; lecz biada im, gdyby nosić chciały płótna holenderskie, lub muszlin przez Anglików wprowadzony; umieją same prząść i tkać, ale niech się nie ważą wspiérać handel angielski! Gdyby wszyscy Francuzi tak gorliwie, jak my, zajmowali się zamknięciem lądu, wkrótceby Anglicy przepadli.«

Tak ci poczciwi marynarze, łącząc ze ślepotą fanatyzmu fałszywą ekonomiję polityczną, raczéj chcieli się wyrzec wszelkich przyjemności życia, niżli angielskiéj kontrabandzie mieć je do podziękowania. Zdawało się to w rzeczy saméj bardzo widoczną sprzecznością, że choć jeszcze wieczorem nie było

w handlu najpotrzebniejszych towarow osadniczych, nazajutrz z rana już wszystkie sklepy obfitowały w płody zagraniczne, pomimoto, że żaden okręt francuzki do portu nie zawinął. A jednak nie dawno dopiéro ponowiona ustawa pod karą śmierci zakazała handeł przemytniczy.

»Cóż robi nasz komisarz od marynarki?« zapytał Scypio; »czemu wszystkich uzbrojonych cłowych okrętów nie wyszle na przeciw temu przeklętemu przemytnikówi? Przybywa zapewne wieczorem, w nocy wyładowuje towary, gdy mu wiatr lub sposobność sprzyja, a nazajutrz skoro swit, ucieka na cztéry wiatry i nim się spostrzegą, już jest daleko za obrębem władzy naszych cłowych urzędników.«

»Tak jest w istocie. Bo czyliżeś przyjacielu Scypio nie uważał tego, ze zawsze wtedy tylko do lądu przybija, gdy nasze uzbrojone okręty w inną już popłyną stronę?«

»Uważałem to dobrze. I czyliż zawsze on będzie sklepy nasze kontrabandą swoją napełniał? To w samej rzeczy trwa długo. Nié ma co mówić, jego okręt szybko płynie, ale kule nasze daleko szybszy lot mają. *Alcyon* także powoli nie płynął; lecz cóż wy na to? W tém jakaś tajemnica. Chciałbym wiedzieć, zkąd on zawsze wié tak dokładnie sposobną do wylądowania porę?... Ale patrzcie! Nicże tam nie spostrzegacie na dole, ztąd od wschodu, na najdalszéj krawędzi widokręgu, na téj modréj kołysanéj z lekka linii wodnéj? Podajcie mi mój dalowid. Czyto nie jest przypadkiem ów niegodziwy przemytnik?!«

I ze wzrokiem wlepionym w punkt, który na widokręgu wskazywał, wziął Scypio dalowid z rąk swojego towarzysza, i to schylił się, to uklęknął, to znowu zmienił swoje stanowisko, aż dopokąd takowe nie było prostoległém z liniją widokręgu; dalowid padł na punkt wymierzony, a oko starego korsarza przytknęło się do szkła; cicho, jak gdyby w modłach zatopiony, klęczał na jedném miejscu; koledzy otoczyli go i zaledwo śmieli odetchnąć, z takiém natężeniem patrzyli na każde jego poruszenie; nareszcie sam przerywa głębokie milczenie: »Coto ma znaczyć,« zawołał, mierząc ciągle wysokość widokręgu, »co to ma znaczyć, że jakaś młoda dziewczyna, w pięknéj błękitnéj sukni, co dzień o jednéj godzinie przechadza się po brzegu morza, o dwie mile od miasta? już kilkakrotnie uważałem ją przez szkło moje, zdaje się być kochanką któregoś z tych ładnych oficérów warowni...« Nagle przerwał, jak gdyby go jakiś nowy przedmiot zajmował. Koledzy, którym bystrość i dokładność jego wzroku dobrze były znane, ośmielili się nakoniec po długim przestanku przerwać milczenie: »No i cóż tam Scypionie?« zapytał z nich jeden. Nie odpowiedział. »Scypionie! co się tam dzieje? Co widzisz?«

Korsarz podniósł się z ziemi, z największą obojętnością zsunął dalowid w pokrowiec i rzekł zimno: »Tak, w samej rzeczy, jestto przemytnik, jutro mieć będziemy funt cukru lub kawy o dziesięć *sous* taniéj, a paniom naszym, dzięki Bogu, na przyszłe święta, na muszlinie zbywać nie będzie. Idę natychmiast do komisarza od marynarki, a biada mu, jeźli mi pozwolenia do schwytania przemytnika odmówi! Wiém, że tylko licha goelota w porcie stoi, niech mi da łódź jaką, a ta będzie dla mnie dostateczną. Teraz uważcie sami, ażali nie jesteśmy zdradzeni; właśnie, gdy ani jednéj uzbrojonéj szalupy naszéj nié ma w poblizkości, pojawia się angielski przemytnik. Ani wątpić, iżto nasi kochani ziomkowie tam w mieście są z nim w porozumieniu i mają umówione znaki... Lecz któż tych zdrajców pomiędzy tysiącem domów wyszukać zdoła?«

Scypio wysiadł na ląd i udał się do pomieszkania komisarza od marynarki.

Tymczasem okręt zaczął się stawać coraz widoczniejszym i coraz się bardziéj powiększał, zawsze jednak trzymał się w oddaleniu, chcąc się od wszelkiego zabezpieczyć napadu. Po jego obrotach, raz śmiałych i szybkich, to znowu powolnych i trwożliwych, łatwo było poznać, że dla tego tylko się zbliżał, aby się z pewnością przekonał, czy się ma całkiem oddalić, czy przybić do brzegu. Zdawało się, że Anglik tylko znaku oczekiwał.

Scypio dostał się szczęśliwie do pomieszkania komisarza od marynarki; lecz nie mało zadał sobie trudów, za nim się wcisnął do sali jadalnéj, gdzie ten wysoki urzędnik, jakto mówią, *en famille* obiadował. Kilkunastu służących wypytywało go o przyczynę jego

przyjścia, potrącali, wstrzymywali go. Gorszył się Scypio zbytkiem widocznym we wszystkich pokojach; podobnie wszystkim marynarzom nie umiał i on oceniać usług, jakie krajowi robią urzędnicy administracyi; utłumił w sobie kilka ostrych złorzeczeń, które już miał na języku, liczył tafle na posadzce i goździe na krzesłach poręczowych, nareszcie przebrało mu się cierpliwości: poskoczył, porwał za dzwonek stojący na przepysznéj podstawie i zadzwonił, jak mógł najgłośniéj. Wszedł służący: »Powiedź wćpan panu komisarzowi, że chcę z nim mówić.« — »Godzina, w któréj daje posłuchanie, już minęła; teraz kwadrans na szóstą; po piątéj nikogo się nie wpuszcza.« — »A jednak chcę i muszę widzieć się z nim natychmiast,« rzekł Scypio, »słyszę go mówiącego w onéj tam sali i bez opowiedzenia się wejdę.« — »Kogoż mam oświadczyć?« — »Jestem żeglarz.« — »Jakiéj godności?« — »No u licha! długoż będzie tych pytań? Jestem korsarzem.« Scypio chwycił służącego za barki i wepchnął go do sali, gdzie w kilka chwil potém dał się słyszéć rozruch niejaki. »Mości panie,« rzecze powróciwszy służalec, z większą jak dawniéj grzecznością, »jw. komisarz trzy razy tylko w tygodniu daje posłuchanie: We wtorek od dziesiątéj do jedénastéj z rana, tych do siebie przypuszcza, którzy lub donieść o czém, lub jakiéj nagrody żądać przychodzą; we środę od jedénastéj do dwunastéj przyjmuje tych, co się o urząd starają; a we czwartek od drugiéj do czwartéj ci zgłaszać się mogą, którzy uwolnienia od służby żądają. Uważ pan teraz do jakiego rzędu należysz. Żegnam.«

»Do stu piorunów!« zawołał Scypio, »dziś dopiéro piątek, więc jeszcze miałbym cztéry dni czekać, nim mógłbym zwrócić uwagę komisarza, że przemytnik około naszéj kręci się zatoki.« Chwycił powtórnie za dzwonek i jeszcze głośniéj zadzwonił. Znowu wszedł służący. »Idź wćpan do swojego pana i powiedź mu niezwłocznie, że angielski przemytnik jest w poblizkości; za godzinę zmrok padnie, a jutro rano będziemy miéć w mieście pakami zakazanych towarów, skoro temu nie zapobiegnie.« Służący usłuchał rozkazu: Wkrótce powrócił znowu i rzekł: że jw. komisarz dziękuje mu za jego wiadomość, lecz wie już o przybyciu przemytnika i zaraz po obiedzie wyda potrzebne rozkazy. »To idź wćpan raz jeszcze do niego,« zawołał trzęsąc się z gniewu stary Scypio, »i powiedz mu, że nie przyszedłem, ażeby mu donieść o tém, i zdanie moje powiedzieć, żądam listu korsarskiego, i nic więcéj, ale ten powinien mi być zaraz dany, rozumiesz mię wćpan?«

Proszono go, by się cokolwiek zatrzymał. Pół godziny mijało, a służący jeszcze nie przychodził, by go do komisarza pokoju zaprowadzić. Nareszcie wniesiono pieczystę do sali jadalnéj, a niecierpliwość Scypiona doszła do najwyższego stopnia. »Noc nadchodzi,« rzecze sam do siebie, »wiatr ustał; nagła cisza zachwyci przemytnika, i nie możemy miéć lepszéj pory do schwytania go, jak teraz, ale za godzinę, za późno już będzie! Skorzysta z ciemności, wyładuje jak najprędzéj swoję kontrabandę i umknie; a mnie zagwoździli tutaj nieczynnie, jak stare nieużyteczne działo!« Te głośne wybuchy gniewu jego usłyszanoby zapewne w sali jadalnéj, gdyby i tam dość głośno nie było. O Scypiona uszy obijał się brzęk talerzów i szklanek, obijały się huczne śmiechy biesiadników i przebiérało się mu w cierpliwości. »I to ci panowie nazywają miłością ojczyzny!« zawołał, »ucztują u stołu, podczas gdy Anglik z towarami przekradać się ośmiela. Już noc, a oni jeszcze jedzą, jabym ani kawałka do ust wziąć nie mógł, odkąd tego psa przemytnika ujrzałem.«

W téj chwili zdawało się Scypionowi, że w odległości usłyszał wystrzał z działa. »Tam się biją!« rzekł oburzony do najwyższego stopnia i wpadłszy do jadalnego pokoju zawołał: »Słusznieżto panie komisarzu, że mi dajesz czekać przez dwie godziny! wiedząc dobrze, że w téj chwili przemytnik krąży około naszego miasta, a ja nic nie żądam, tylko listu korsarskiego, ażebym go mógł schwytać?«

Wszyscy goście zdziwili się niezmiernie. »A tobie zkąd ta śmiałość przypisywać mi powinności moje?« odrzekł komisarz i wychylił spokojnie kielich zapieniony szampanem. »Oddal się ztąd natychmiast!«

»Dobrze, oddalę się,« zawołał Scypion, »ale piérwéj muszę panu powiedzieć prawdę. Toż zajadając pieczone kurczęta i spijając szampana znaczy łowić przemytnika przekradającego towary? Jak mi Bóg miły! rozpowiém to przed całém miastem, a nawet

w porcie, żeś mi pan śmiał odmowić lichego kawałka papiéru, któryby mi dał prawo walczenia z nieprzyjacielem méj ojczyzny! Tu w tym pokoju znajduje się zdrajca kraju, ale ja nim nie jestem! Wiém ja dobrze komu jest znana owa skała, gdzie przemytnik o północy składa swą kontrabandę...«

To mówiąc rzucił stary korsarz dzikie spojrzenie na córkę komisarza, oczekującą z drzeniem końca tego zdarzenia, a zaciekłość jego uśmierzać się zdawała. Patrzył na nią z osobliwszym wyrazem zadziwienia, a im bardziéj się w nią wpatrywał, tém bardziéj zdawał się uspakajać. Pochwyciwszy pełną szklankę wina i przytknąwszy ją do ust swoich: »Niech żyje cesarz!« zawołał, »niech żyje zamknięcie stałego lądu!«

Chwila ciszy nastąpiła po tym toaście, a młody oficér od marynarki korzytał z téj sposobności, prosząc po cichu Scypiona, aby na nowo nie zaczynał hałasu i odszedł spokojnie. »Ah, czyto wćpan mości Auguście?« ozwał się korsarz. — »Tak jest mój przyjacielu, ja to jestem.« — »O, jeźli cokolwiek mam łaski u wćpana za to, żem go nauczył obrotów wojennych, postaraj się dla mnie o jaką barkę lub szulupę, abym jeszcze dzisiaj mógł się spotkać z tym przemytnikiem!« — »Zapewne nie wiadomo ci Scypionie, że tu dzisiaj są zaręczyny?« — »Zaręczyny?« — »Tak jest, córka komisarza od marynarki pójdzie za mąż od dziś za tydzień. — »Zapewne za przemytnika angielskiego?« — »Nie Scypionie, ona pójdzie za mnie; ta młoda dziewczyna, na którą tak dziwnie poglądałeś, jest moją narzeczoną.« — »Więc pan żenisz się z tą panienką?« — »Cóż widzisz w tém tak dziwnego, mój Scypionie?« — »Jeżeli tak, więc radziłbym panu, ażebyś sobie kupił dom nad brzegiem morza; bo narzeczona pana lubi bardzo powietrze morskie.« — »Nie rozumiém cię Scypionie.« — »Toż panu nie wiadomo, że oblubienica pana bardzo często przechadza się po morskim brzegu?« — »Wytłumacz się dokładniéj.« — »Nie potrzeba żadnego tłumaczenia: Od sześciu miesięcy przechadza się ta młoda panienka codziennie, mimo wiatru i słoty, po grobli portu, i nie raz ją widzę jak sama jedna po stromych skałach się wspina. Chyba, żeście tam mieli swoje schadzki?« — »Schadzki? na morskim brzegu? I moja Cecylia chodziłaby tam sama jedna? Scypionie! przyrzekniéj mi, że mnie przekonasz o tém, co powiadasz!« — »Nic łatwiejszego,« odrzekł Scypion, »przyjdź pan jutro na pokład mego domu, a mój dalowid pokaże panu tak dokładnie jego oblubienicę, jak ją teraz widzisz przed sobą.« — »Jutro więc Scypionie!« — »Jutro panie Auguście.« — W tém się rozeszli.

Noc zaskoczyła, a nazajutrz wiedziało całe miasto, że przemytnik wysadził na brzeg cały ładunek zakazanych towarów.

Scypion krzywdził widocznie komisarza od marynarki; bowiem przez cały przeciąg długoletniéj służby, najmniejsze nie pokazało się na niego podejrzenie. Odbył on pod admirałem Suffren podróż do Indyjów, a ponieważ zaszczytnie odznaczył się w swoim pierwszym zawodzie, dla tego powołany był do obecnéj służby od samego Napoleona. Sława jego była tak ustalona, że jéj posądzenie Scypiona bynajmniéj zachwiać nie mogło. Prawda, że w departamencie jego nie bardzo surowo obchodzono się z oszukaństwem; lecz to nie było jego winą i nikt przezto nie ważył się powątpiewać o jego poczciwości.

Cecylia urodziła się w Indyjach, gdzie jéj ojciec przez niejaki czas był gubernatorem. Zrodzona w gorącéj strefie, zimniejsze niebo nasze nie służyło bynajmniéj jéj zdrowiu; zniknął świeży, żywy rumieniec z delikatnéj jéj twarzy, przyjemny, naturalny układ jéj ciała, nie zgadzał się z wymuszonym ubiorem europejskim, a ognista, żywa Kreolka nie lubiła przymusu, którym etykieta ją otaczała. Teraz otworzyło się dla niéj nowe życie: kochała z całym zapałem dziewiczéj duszy, kochała namiętnie, ognisto, tak, jak tylko Kreolka kochać zdoła, miłością, która tylko z życiem się kończy. A zatém Scypio podobno się omylił, wszakże w odległości dwóch mil mogła córka jakiego rybaka być podobną do córki komisarza od marynarki. Bo któżby temu dał wiarę, aby młoda dziewczyna, która dopiéro opuściła pensyją, utraciwszy wcześnie swą matkę, wychowana z największą starannością od swego ojca, kochana od młodego i walecznego oficéra od marynarki, narażać miała swój los, sławę i życie dla rozmawiania tak daleko od miasta z swym kochankiem, który zapewne miał osobliwsze

powody, że się tak tajemnie z nią schadzał? Przytém Cecylia była dziecldem do spoczynku i wygody przyzwyczajoném; lubiła miękką, aksamitną sofę, lubiła ptaszka, którego ułaskawiła swoim miękkim, pieściwym głosem, lubiła arfę, nad którą siedząc pochylona całemi godzinami, mimowolnie poruszała palcami dźwięczne jéj struny, a umysłem bujała po krainie przyszłości. Tym sposobem upływało jéj życie, i tak niewinną istotę posądził stary korsarz? O, haniebne porozumienie! Scypionie! Scypionie! Oko twoje nie ma już tak bystrego wzroku jak przedtém, możeś ujrzał na brzegu białą pianę, okrywającą skały i mniemałeś, że to ta sama lekka, jak wietrzyk dziewica!

Na drugi dzień przyszedł August w umówionéj godzinie na pokład *Alcyona*. Przez całą noc nie zmrużył oka i okropną przysiągł zemstę temu, co tak niemiłosiernie zburzył jego spokojność.

Niebo zupełnie było czyste i pogodne, nie było na niém najmniejszego obłoku; widać było na odległość mil dziesięciu; ale ani Scypion, ani August nic nie spostrzegli. Czekali więc aż do saméj nocy i dopiéro wtedy przekonał się Scypion, że dama w błękitnéj sukni nie będzie się dziś przechadzać po brzegu morskim. Obadwaj przyjaciele rozeszli się z uczuciami zupełnie przeciwnémi, a próbę odłożyli na dzień następny.

August de Bussy strawił wieczór przy boku Cecylii. W jéj obecności zniknął wszelki cień podejrzenia; zdało się mu, że nigdy nie widział jéj piękniejszą, powabniejszą i godniejszą kochania, jak téj chwili; co większa, kilkakrotnie brała go chęć wyznać przed nią, jak nierozsądnie uwierzył mowie Scypiona i jak na pokładzie u niego śledził ją dalowidem na morskim brzegu, ale jakaś tajemna siła wstrzymywała go od tego. Rozmawiali oboje o bliskiém weselu i układali plany na przyszłość. August miał nadzieję, że będzie posuniętym na wyższy stopień oficérski, ale połóżmy, gdyby w piérwszéj wycieczce Anglicy go schwytali i w pontony zawlekli? Okropna myśl dla kochających, a jednak poniewolnie z nią obeznać się musieli; bo August mógł bardzo łatwo podobnego doznać losu, jak i poprzednicy jego. Rozrywając się na przemianę to śmiéchem, to dumaniem, rozmawiając o sławie i o śmierci, spostrzegł August, że Cecylia miała w ręku cienką batystową chustkę angielską. »Jaka z ciebie strojnisia!« zawołał żartem, »cóżby na to powiedział cesarz? takżeto przestrzegasz zamknięcia stałego lądu?« — »O Boże!« rzekła wzdrygnąwszy się cała; »ja, córka komisarza do marynarki, czyliżbym śmiała tak przekraczać rozkaz cesarza? To miałby być batyst angielski? Ależ mój ojciec sam darował mi tę chustkę.« Czém prędzéj ścisnęła ją mocno w swojéj rączce i spaliła nad płomieniem woskowéj świécy. Téj saméj chwili wszedł ojciec do pokoju: »A co ty robisz Cecylio?« zawołał. — »Papo,« ozwała się dziewczyna, »zastępując twe miejsce pełnię twój urząd; ty palisz angielskie towary na środku rynku, a ja moję chustkę batystową nad płomieniem téj świécy. Przestrzegam podobnie tobie zamknięcia stałego lądu, bo czyliż nie jestem twoją córką?« August nie posiadał się z radości. Komisarz uścisnął ozięble swoję córkę, a groźna chmura zatoczyła się na czoło jego.

(Dokończenie nastąpi).

TYGRZYCA Z SWEMI MŁODEMI.

Temps donosi: Pewien Europejczyk, będąc z swym służącym, Indyjaninem, nazwiskiem Siampo na polowaniu, spoczywał na otwartém miejscu śród lasu. Nagle ujrzeli mnóstwo kotów morskich, które jakby przed wielkiém niebezpieczeństwem, szybko w krzaki zmykały. Tuż za niemi wypadły inne małe zwierzęta, okazujące w swoim biegu przestrach okropny. Siampo dał poznać swemu panu, że wszystkie te zwierzęta uchodzą z jednéj strony i że w tym samym kierunku jest zapewne jakieś niebezpieczeństwo. »Ach! one uciekają przed tygrysami,« zawołał nagle, »to mi węch mój i słuch powiada!« Nie trzeba tu wspominać, że Europejczyk ani tak dobrze słyszał, ani tak ostro wietrzył, wszelako pochwycił strzelbę. »Nie strzelaj pan!« rzekł Siampo, »zapewne jest ich wiele, bo ich mocno czuję.« Wkrótce ziściła się jego przepowiednia, albowiem daleki ryk obił się o ucho strzelca; obadwaj przyjaciele włożyli czém prędéj na siebie tajstry, atoli szum w zaroślach, biegiem dzikich zwierząt sprawiony, już zapowiedział blizkie niebezpieczeństwo. »Włóżmy na to drzewo!« rzekł Siampo i natychmiast z szybkością niesłychaną wskoczył na odziomek zgiętego drzewa. Europejczyk chciał także pójść za jego przykładem, ale że mu strzelba w tém przeszkadzała, musiał ją zostawić na ziemi. Byłato chwila bardzo krytyczna. Uczucie grożącego niebezpieczeństwa sił mu dodało; za przykładem Siampa, objąwszy rękami i nogami odziomek, wlazł szczęśliwie na drzewo. Lecz Siampo dostał się na sam wierzchołek, a Europejczyk zajął miejsce na pochyłym konarze. Wkrótce spostrzegł z przestrachem, że konar, na którym usiadł, jest spróchniały i za najmniejszém poruszeniem złamać się może. Na domiar swego nieszczęścia obaczył tuż blizko siebie czarne, nad dużém gniazdem wijące się osy, których śmierć zadające żądła, były mu znane. Widząc, że sam stoi na piérwszéj czacie, i że tygrysy przybiegłszy najpiérwéj na pochyły odziomek wspinać się będą, zazdrościł Indyjaninowi jego stanowiska. Jakżeby

chętnie rad był dostać się do swego służącego; lecz kruchy i nadpruchniały konar, straszliwi goście na dole i jadowite osy, które w około się zwijały, wszystko zmuszało go, nie ruszyć się z miejsca. Tymczasem nadbiegły tygrysy; było ich czworo, kilka z nich, zlanych posoką z ran świéżo otrzymanych. Między niemi znajdowała się tygrzyca, rozjuszona wściekłością, która spostrzegłszy obu strzelców, natychmiast rzuciła się ku drzewu i wspiąwszy na nie łapy, wściekłością roziskrzone wlepiła w Europejczyka oczy. Kurzący się oddech z jéj ziejącéj paszczy zalatywał prawie pod jego nogi. Europejczyk obawiał się co chwila, by się do niego nie dostała. »Dobądź pan witryjolu!« zawołał do niego Indyjanin. Słowa te jak łyskawica przeniknęły Europejczyka i natychmiast wyjął z tajstry flaszkę z witryjolem. Rozsrożona tygrzyca, patrząc w niego bez ustanku, raziła go ciągle wytężonym wzrokiem wściekłości. Z drżeniem wyciągnął Europejczyk rękę i prosto na jéj oczy wylał witryjol z flaszki. Tygrzyca ryknęła okropnym głosem; strzelec przerażony, z bojaźni aby nie spadł, uchwycił się mocno konaru, i natychmiast otoczyły go na około osy. Gdy potém znowu otworzył oczy, widział jak tygrzyca wijąc się w kłąb po ziemi, ostremi pazurami krwawiła sobie głowę. Paszcz jéj zczerniała, a oczy witryjolem były spalone. Powstała z ziemi i zaczęła, okropnie parskając, toczyć się w koło; młode wydając podobnież żałosne jęki, nie odstępowały jéj, ani na chwilę. »Teraz ja pokażę, co umiém,« rzekł Siampo i dobywszy z kieszeni ostatki mięsa, pokrajał je w kawałki. »Daj mi pan mydła!« Europejczyk zrozumiał przebiegłego Indyjanina; podał mu kawałek mydła, zaprawionego arszenikiem, którym Siampo naszpikował kawałki mięsa i rzucił je między młode tygrysy. Niebawem okazał się skutek trucizny. Biédne zwiérzęta, które z chciwością pożarły zatrute mięso, wydając przeraźliwe wycia i jęki, skakały w górę z bolu około swojéj macierzy, a nareszcie, puściwszy się manowcem, szybko od niéj odbiegły. »One poszły pić wodę,« rzekł Siampo i trzymając się jedną ręką drzewa, zaczął z radości spiéwać i skakać na gałęzi. Wesoły głos jego mieszał się z wyciem uciekających tygrysów i z stękaniem oślepionéj tygrzycy; czarne, kędzierzawe włosy jego i szatańska radość na jego ciemnéj twarzy, nadawały mu postać zwiérza dzikiego. Wszelako jeszcze cokolwiek niepokoiła ich tygrzyca, dla tego Siampo zlazł z największą szybkością z drzewa i podał swemu panu strzelbę: »Teraz kolej na pana,« rzekł do niego. Europejczyk nabił dwururną strzelbę, wypalił — a tygrzyca z wściekłością się zwinęła, strzelił powtórnie — padła na miejscu. Obadwaj przyjaciele uściskali się serdecznie z radości.

— Ze Lwowa. —

W Nrze 81. »Tygodnika Petersburskiego« z r. b., w długim, z wielką znajomością rzeczy napisanym artykule: *O nowych książkach polskich*, umieszczone jest także krótkie zdanie o tomie pierwszym *Sławianina*, wydawanego przez Stanisława Jaszowskiego. Przytaczamy wyimek z tego zdania, sądząc, że przyjemnie będzie czytelnikom naszym dowiedzieć się, jak znana z niepobłażania krytyka z nad Newy wyraża się o rzeczoném dziele: »Wyszedł także we Lwowie piérwszy tom *Sławianina*. Z radością przekonaliśmy się, jak liczny jest w Galicyi poczet młodych pisarzy. Nie znajdujemy w tym zbiorze żadnego prawie z imion poznanych dawniéj z *Ziewonii* i *Haliczanina*, tak wiele obiecujących dla literatury. W Sławianinie spotykamy znowu innych, a wcale niepospolitych pisarzy. Co o żadnym innym podobnym zbiorze nie da się powiedzieć, tu przyznać można, że od początku do końca składa się z wartych uwagi i pochwały rzeczy. Proza jest treściwa, poezyja barwna i t. d.«

Z Paryża. (Wyimek z listu.) ... P. Matuszyński zdawał d. 16. sierpnia w tutejszéj szkole lekarskiej examen na doktora medycyny. Theza, któréj bronił i którą drukiem ogłosił, ma napis: *De l'influence du nerf sympathique sur les fonctions des sens.* — Inny Polak p. Wścieklica zdawał w tutejszéj szkole prawa dnia 8. lipca examen na licencyjata; theza jego, również drukiem ogłoszona, miała za przedmiot *doczasowe używanie własności*, podług praw rzymskich i kodexu Napoleona. — Na posiedzeniu tutejszéj akademii umiejętności d. 12. czerwca, czytaną była rozprawa chemiczna pp. Peletier i Waltera, Krakowianina. Dwaj ci uczeni chemicy odosobnili w resztkach smoły, na gaz wypalanéj, kilka nowych ciał, które nazwali *retinaphte*, *retinyle*, *retinole* i *metanaphaline*. — W czérnastym zeszycie pisma tutejszego: *Le monde drammatique* znajduje się artykuł p. Kisielnickiego: *Quelques mots sur le théatre en Pologne*. Autor wykazuje w zwięzłej krótkości zasługi artystów dramatycznych dla języka i literatury. — W ostatnich czterech numerach (z miesiąca października) pisma: *Magasin pittoresque*, umieszczona jest wiadomość o *pieśniach litewskich;* niektóre z nich są tam dosłownie wytłumaczone. *X. B.*

Z Poznania. *Józef Łukaszewicz* ogłosił tu prospekt na dzieło: *Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania w dawniejszych czasach*. Treść dzieła tego składać będą następujące rozdziały: Rozd. I. Domysły o początkach miasta Poznania. O wzroście miasta Poznania co do obrębu. O przedmieściach, ulicach, liczbie i kształcie w rozmaitych epokach. O postaci miasta Poznania w rozmaitych czasach. O warowniach. Rozd. II. O ludności w ogólności i w rozmaitych epokach. O ludności co do narodowości. O ludności co do stanów. Rozd. III. O obyczajach, zabawach, ubiorze, mieszkaniach i domowych sprzętach mieszkańców Poznania w rozmaitych epokach. Rodz. IV. O magistracie, czyli połączonych w nim władzach administracyjnej, sądowniczéj i policyjnéj, w wszelkich ich gałęziach. Rozd. V. O majątku miasta, dochodach, wydatkach, długach i rodzajach ciężarów miejskich i rządowych, które mieszkańcy Poznania w różnych epokach ponosili. Rozd. VI. O szpitalach i innych zakładach i funduszach dobroczynnych. Rozd. VII. O handlu, przemyśle i zamożności mieszkańców w różnych epokach. Rozd. VIII. O fabrykach, foluszach, piłach. Rozd. IX. O szkołach, drukarniach, księgarniach. Rozd. X. O gmachach publicznych. Rozd. XI. O kościołach, klasztorach, kaplicach. Rozm. XII. O rzekach Warcie, Główmie, Cybinie i innych wodach w mieście. Rozd. XIII. O uczonych i sławnych Poznańczykach. Rozd. XIV. Kronika miasta Poznania.

od najdawniejszych czasów aż do r. 1793. — Całe dzieło składać się będzie z 40 do 50 drukowanych arkuszy. Przydane do niego będą plany, widoki miasta Poznania i inne ryciny. (G. P.)

Z Berlina. W tutejszéj pracowni p. profesora Rauch wykończony został przed kilku dniami model gliniany do grupy kolosalnéj na pomnik, mający być wystawionym w kościele katedralnym w Poznaniu, i przedstawiać piérwszych chrześcijańskich królów Polski, Mieczysława i syna jego króla Bolesława Chrobrego.

Nagrodzona dobroczynność. Jeden dom kupiecki w Peszcie donosi o następującym szczęśliwym przypadku, który się tam wydarzył i zaręcza za jego prawdziwość: Pewien młody lekarz tameczny leczył uboga żydówkę na chroniczną słabość z rzadkiém poświęceniem się i wytrwałością tak długo, póki też zupełnie nie wyzdrowiała. Lecz ponieważ mąż téj samej żydówki nie był w stanie wynagrodzić mu za jego podjętą pracę, darował mu więc na dwa domy w Wiedniu los loteryjny, który dniem wprzód za 3 złr. m. k. u kogoś szacberką nabył. Uczciwy lekarz, powodowany jedynie uczuciem ludzkości i nie spodziewający się żadnéj nagrody od tych ubogich ludzi, przyjął od nich tę małą zapłatę. Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy w kilka dni poźniéj, czytając ogłoszone w Peszcie numera loteryi ciągnionéj w Wiedniu na dniu 21. października, ujrzał, że jego los wygrał znaczną kwotę pięćdziesiąt tysięcy złr. m. k.! Wszyscy, którzy się o tym szczęśliwym wypadku dowiedzieli, cieszyli się z téj wygranéj, mówiąc: »Przecież choć raz szczęście sprawiedliwém się okazało!«

Sposób zachowania teatrów od ognia. D. 24. września uczyniono na dziedzińcu prefektury policyi w Paryżu, w przytomności Gabryela Delessert i komisyi złożonéj ze znawców rzeczy, doświadczenie, które jest bardzo ważne dla publicznego bezpieczeństwa. Już od dawna przemyśliwano nad sposobami zabezpieczenia od ognia dekoracyi teatralnych. Panu Bergamenter z Wiednia powiodło się szczęśliwie rozwiązać to zadanie. Dekoracyje przezeń urządzone i w teatrze opery królewskiéj w Paryżu malowane, wystawiono na żywy i nieprzerwany płomień, a jednak żadna się nie zajęła. Również płótnem, podług tego nowego systemu przyrządzonem, stłumiono i zagaszono mocny ogień, który dobrze był podniecany. Atoli nie tylko płótno grube, ale nawet najleksze i najprzezroczystsze muszliny, słowem, wszystkie przedmioty z drzewa, papieru, a nawet plecionki z słomy, które tym pokostem obciągano, zostały od ognia nietkniętemi. Położywszy nawet na żarzące węgle przedmiot tym sposobem obwlekły, nigdy nie zajmie się w płomienie, lecz zwolna tylko zetleje. Ponieważ zaś pokost ten nie bardzo wiele kosztuje, może więc bardzo korzystnie być użytym do kortyn, kulis, obiciów, maszyneryi, słowem do wszystkich rekwizytów teatralnych. — Wynalazca gotów pod słusznemi warunkami udzielić téj tajemnicy właścicielom teatru. Należy w tym względzie adresować list do Fryderyka Bergamenter w Wiedniu, *Neubau* na głównéj ulicy N. 203. pod zielonym kręglem.

Początek krajcarów. Krajcar, moneta zdawkowa niemiecka z srébra albo miedzi, zjawiła się dopiéro w roku 1490; otrzymały swą nazwę od znaku krzyża, który na nich był wybitym.

Aparat nurkowy. P. Paulin, pułkownik i komendant pompierów w Paryżu wynalazł aparat nurkowy, za pomocą którego pod wodą zostawać i tak lekko jak w wolnem powietrzu oddychać może. Przebija on gozdźmi pod wodą skrzynię, przerzyna deski, pisuje do osób stojących na brzegu i żąda od nich wszystkiego, czego mu tylko do roboty potrzeba; odpisują mu nawzajem; on czyta co tamci do niego piszą i odbiera wszystkie przedmioty, które pod wodę mu spuszczają; gdzie nie widzi, tam bierze z sobą latarnię, która mu ciemne miejsca oświéca. Nurek ten tak długo zostawać może w wodzie, pokąd go zimno do wyjścia z niej nie przymusi. Lecz gdy się zaopatrzy nieprzeniklą suknią, którą łatwo zrobić można, będzie mógł i przez najdłuższy czas zostawać w wodzie.

O uprawie winnéj macicy. Pewien światły człowiek, znający się bardzo dobrze na uprawie macicy winnéj i robieniu z winogron wina, który tego lata objeżdżał Krym, oświadczył, że nigdzie nie widział ani urodzajniejszych, ani okazalszych gór winnych, jak tameczne. Bowiem na górach tych znajdują się wszelkie gatunki winorośli i wszystkie rodzą najdoskonalsze winogrona. Znalazł ten kraj tak zdatnym do uprawy wina, że płonki winne, jednego roku wsadzone w ziemię, na drugi rok rodzą już winograna, podczas gdy nad Renem i we Francyi latarośl dobrze pielęgnowana, dopiéro w piątym lub szóstym roku owoc wydaje. W niektórych okolicach dzika winorośl przewyższa wierzchołki wysokich drzew i zdobi się obwisłemi wieńcami pysznych winogron. Znalazł jednak, iż mieszkańcy tameczni jeszcze bardzo niedoskonałe robią wina, tak dalece, że w winie z winogron niemieckich i francuzkich nie znalazł ani smaku ani zwyczajnego aroma. Podług jego zdania tylko winorośle z wysp greckich, Włoch, Hiszpanii i Portugalii, wydałyby tam plon doskonały i mocne, tak zwane suche wina w przewybornym smaku, gdyby je włoscy i greccy winiarze uprawiali.

Starożytności z pod Kartaginy. Francuzki okręt kupiecki *le Zodiaque* zawinął przed kilkoma dniami do Marsylii. Okręt ten przybyły z brzegów Afryki i przeznaczony do Liwerpolu, ma na swoim pokładzie pięćdziesiąt i dwie skrzyń, napełnionych starożytnościami, które pod gruzami Kartaginy były wykopane. Niektórzy komisanci angielscy, otrzymali za złożeniem kilku tysięcy franków, od tamecznego Beja pozwolenie wykopywania starożytności pod gruzami tego dawnego i sławnego miasta. Na pokładzie tego okrętu znajduje się między innemi także bardzo piękny posąg z białego marmuru, i doskonale zachowany płyt mozaikowy.

Wielka puścizna. Pisma publiczne w ostatnich czasach rozprawiały wiele o ogromnéj puściznie, którą księżna z Saint-Albans zostawiła po swojéj śmierci. Jakkolwiek z resztą wielki jest ten majątek, jednakże nierównie mniejszym od majątku, który zostawił po sobie Rustan-basza, wielki wezyr Solimana, kochający się w przepychu. Wezyr ten bowiem zostawił po swojéj śmierci 1800 niewolników, 2900 koni, 1160 wielbłądów i mułów, 80.000 sztuk muszlinu na turbany, 780.000 złotych cechinów, 8000 sukni ceremonialnych, 11.000 złotych czapek, 209 kies złotych, 2000 haftowanych sukni wierzchnich, 1500 par srebrnych, a 130 par złotych ostróg, 760 szabel wysadzonych drogimi kamieniami, 1000 szabel ze srebrnemi pochwami, 11.300.000 klejnotów, 1000 sakiew srebra w gotówce do przewożenia na koniach, 810 posiadłości dzierżawnych w Azyi i Europie, 470 zupełnych rynsztunków zbrojnych, 8000 egzemplarzy koranu, z których 130 kompletnych w złoto i drogiemi kamieniami oprawnych było, a nareszcie 8000 sukni rozmaitego gatunku. Ale rzeczą najgodniejszą uwagi jest to, że zostawił po sobie sławę uczciwego człowieka, co się nie bardzo zgadza z mniéj lub więcéj sumiennem nabyciem tak ogromnego majątku. Dziejopis turecki dołącza w téj mierze następującą uwagę: »Oby Mahomet każdemu prawowiernemu Muzułmanowi tylko czwartéj części z tego udzielił!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*